

Pod Norwida

Pamiętam jak któregoś beztroskiego dnia, dowiedziałem się że umarł Herbert. Pamiętam jak któregoś beztroskiego dnia umarł mi Herbert. I (Wtedy) niebo swój pułap obniżyło. Dosłownie.

Jechałem w rozśpiewanym autobusie z południa na północ Polski. Był lipiec, środek lata, najmniej odpowiednia pora śmierci. Ni stąd, ni zowąd z nieba uderzył wiatr skrapiając połamanymi kwiatostanami lipy ten pędzący autobusu. Kierowca włączył wycieraczki a dochodzące do pełnej godziny radio zaczęło szumie

i trzeszcze

. Z tego trzasku i szumu, w rytm wiatru uderzającego w szyby orzeszkami przekwitłych lip, dobiegły mnie niewyraźne słowa. *Pogrzeb Zbigniewa Herberta odbędzie się 1 sierpnia...* Potem znowu przyjemne wyciszenie głośników przywiało z tyłu autobusu głośniejszą frazę – *a nad nią szumił gaj...*

Jechaliśmy dalej, dalej po świeżym już parującym asfalcie. I nawet nie pamiętam czy ten przelotny deszcz zabębnił w autobus na wysokości Warszawy, czy już za nią?

Wmyślałem się w tę informację - pogrzeb w Warszawie - i odskakiwałem od niej wyrwany szumem silnika, rażącymi iskrami słońca gasnącymi przy uszczelce autobusowej szyby.

W takim momencie! Kiedy byłem pomiędzy wędkarskimi wspomnieniami z Białej Łądeckiej a zamierzeniami zabijania pstrągów ze Studnicy. W takim momencie! Zupełnie niedorzecznie. Ach, to już nic nie napisze? Zostanie po nim kruchy sypiący się z czasem firmament obsesyjnych przywoływań poetyckich światów naszej praświetnej kultury demokracji, wyidealizowanej mowami Diodotosa *Kto bowiem upiera się przy tym, że słowa nie są nauczycielami czynów, jest albo głupcem, albo ma w tym jakieś swoje własne cele (...)*.

Pamiętam, że ta wiadomość tak mi namieszała w głowie, że w Słupsku zapomniałem zabra

z autobusu mego super wędziska Shimano, o którym sobie przypomniałem, kiedy odmachałem tradycyjne mach – mach na pożegnanie odjeżdżającej do Torunia grupy roześmianych, doświadczonych hasaniem po górach dzieciaków.